

Z EKONOMII ŚWIATOWEJ

Robert M. SOLOW*

W stronę makroekonomii średniego okresu¹

Obecnie makroekonomia stała się nauką o wiele bardziej szanowaną niż to bywało dawniej. Pamiętam, iż wielu ekonomistów lubiło mawiać: mikroekonomia nie jest problematyczna, natomiast makroekonomii po prostu nie rozumiem. Nasuwał się wówczas wyraźny wniosek, że coś musi być nie tak z makroekonomią, nie zaś z osobami głoszącymi taki pogląd. Oczywiście makroekonomia nie może być „ściska”; jest skazana na stosowanie ogólnych analogii oraz empiryczny kompromis. Być może pewna powierzchowność jest nieunikniona. Większość ekonomistów zajmuje się problemami mikroekonomicznymi wykorzystując na coraz szerszą skalę nowe dane mikroekonomiczne. Obecnie jednak panuje przekonanie, że makroekonomia znajduje się w samym sercu ekonomii i nie wypada traktować jej z góry. Pogląd ten będzie się umacniał, ponieważ nieustannie istnieje potrzeba wytłumaczenia bieżących wydarzeń, szczególnie tych niepomyślnych, oraz sformułowania polityki (nawet brak zainteresowania jest jakimś rodzajem polityki) ujmującej właściwy sposób reakcji na te wydarzenia. Z tego samego powodu wysoce nieprawdopodobne jest, aby zmianie uległ charakterystyczny, bliski związek pomiędzy teorią makroekonomii a badaniami empirycznymi.

W niniejszym eseju zamierzam poruszyć wciąż otwarte w makroekonomii pytania, a także powiedzieć coś o nowych zjawiskach, które wymagają ujęcia we współczesnej makroekonomii, oraz ideach, które mogłyby umożliwić postęp. Okoliczność i ilość dostępnego miejsca wymagają ode mnie dość wysokiego stopnia ogólności. Nie jest to więc właściwy moment, by zajmować się szczegółowymi kwestiami badawczymi – na przykład uważam, że istnieje potrzeba dalszych badań w zakresie krótkookresowej relacji pomiędzy produkcją a zatrudnieniem, ale nie jest to okazja do rozwodzenia się nad tym problemem.

Podstawy

Głównym narzędziem stosowanym w nowoczesnych teoriach makroekonomicznych był mały, kompletny model równowagi ogólnej i w istocie trudno

* Robert M. Solow jest emerytowanym profesorem w Massachusetts Institute of Technology, Cambridge, Massachusetts.

¹ Oryginał ukazał się na łamach „Journal of Economic Perspectives” 2000 (zima), t. 14, nr 1, s. 151-158.

sobie wyobrazić, aby cokolwiek miało go zastąpić w najbliższym czasie. Jednakże określenie „równowaga ogólna” nie musi w tym kontekście oznaczać modelu „konkurencyjnego”, „walrasowskiego” czy modelu w duchu „Arrowa-Debreu”. Z pewnością też nie odnosi się ono do modelu w wersji zakładającej istnienie optymalizującego swoje wybory reprezentatywnego podmiotu, która w jakiś niezwykły sposób zdobyła sobie popularność. Tak naprawdę trzeba się zdecydować, czy ceny są elastyczne czy lepkie, a może niektóre ceny powinny zostać ujęte w modelu w jeden sposób, a inne inaczej? Albo ujmując rzecz nieco inaczej: czy rynki oczyszczają się zawsze, przeważnie, czy też istnieje jakaś inna, bardziej użyteczna koncepcja równowagi?

Nawet w ramach małego modelu jest miejsce na różnorodność. Rynek obligacji zasadniczo różni się od rynku pracy i fakt ten zaczyna być doceniany nawet w nurcie realnego cyklu koniunkturalnego. Wciąż nie rozstrzygnięto, jakie ujęcie rynku dóbr byłoby najlepsze. Podzielam pogląd mniejszości, że tzw. modele stałych cen (*fixed-price models*), które opracowali [Malinvaud, 1977], [Bénassy, 1986] i inni, nigdy nie doczekały się uczciwego osądu ze strony amerykańskich makroekonomistów. Nie ma wątpliwości, iż istniały uzasadnione powody ich negatywnej oceny. Dla przykładu w modelach stałych cen brakowało jakiegokolwiek rozsądnego wytłumaczenia, w jaki właściwie sposób dokonują się ostatecznie zmiany poziomu cen, co w czasach inflacji było poważnym mankamentem. Ponadto słabą stroną tych modeli były, związane z poprzednią wadą, niejasności co do koncepcji „efektywnego popytu” na rynkach, na których występują ograniczenia ilościowe. Można by pomyśleć, że postęp wymaga osadzenia teorii makroekonomii w świecie, którego dominującą formą rynku jest jakaś wersja niedoskonałej konkurencji. Wówczas trzeba będzie zająć się kwestią ustalania cen przez dysponującą siłą rynkową przedsiębiorstwa, które jednocześnie działają w warunkach tarć oraz niepewności. Lepkie ceny już się pojawiają w koncepcji realnego cyklu koniunkturalnego i w pokrewnych ujęciach, co jest z pewnością dobrym znakiem [Christiano, Eichenbaum i Evans, 1997, s. 1173-1200].

Inne podstawowe pytanie dotyczy tego, czy modele makroekonomiczne powinny opisywać proces podejmowania decyzji przez podmioty za pomocą optymalizacji, czy też jakiejś zdroworozsądkowej reguły. W przypływie optymizmu podejrzewam, że ta dychotomia może być bardziej pozorna niż rzeczywista. Obecnie bowiem założenie, że reprezentatywny konsument maksymalizuje zdyskontowaną sumę użyteczności o stałej elastyczności przy ograniczeniu budżetowym obejmującym okres całego życia, oznacza praktycznie przyjęcie zdroworozsądkowej reguły. I odwrotnie, wykorzystanie jakiegokolwiek dającej się uzasadnić zdroworozsądkowej reguły będzie prawdopodobnie dawało w efekcie wynik zbliżony do rozwiązania pewnego problemu optymalizacyjnego. Jednakże w przypływie pesymizmu uważam, iż jedynym powodem, aby obstawać przy optymalizujących podmiotach jest chęć wyciągnięcia wniosków odnoszących się do dobrobytu, w które i tak nikt nie wierzy, a spośród których najmniej wiarygodny jest ten, że obserwowany cykl koniunkturalny rzeczywiście stanowi optymalne dostosowanie do nieoczekiwanych szoków technologicznych.

Być może można sobie wyobrazić pośrednie rozwiązanie tego problemu oparte na połączeniu ograniczonej optymalizacji z zastosowaniem w pewnym stopniu zdroworozsądkowej reguły.

Jednym z powodów przyjęcia tego kierunku rozważań jest znaczenie oczekiwania w teorii makroekonomii oraz nie rozwiązana kwestia najlepszego sposobu ujęcia procesu ich tworzenia się. Wielość dających się obronić opinii na ten temat jest niepokojąca. W niektórych kręgach naukowych hipoteza racjonalnych, spójnych z modelem, oczekiwań jest po prostu przyjmowana za pewnik – jako jedyne zasadne ujęcie. W innych kręgach naukowych dozwolone jest rozważanie pytania, czy świat opisywany przez makroekonomię da się w ogóle ująć w kategoriach stacjonarnego procesu stochastycznego, a jeżeli nie to, co się rozumie przez rozsądny sposób tworzenia się oczekiwań co do przyszłych wyników. (Wygłąda to na inne sformułowanie pytania, które przed laty postawił Knight, o różnicę pomiędzy ryzykiem, które można przedstawić za pomocą rozkładu prawdopodobieństwa możliwych wyników, a niepewnością, która w jego ujęciu odnosi się do zasadniczego braku wiedzy przejawiającego się tym, że ani możliwe wyniki, ani rozkład prawdopodobieństwa nie mogą zostać wyrażone w żaden użyteczny sposób).

Trudno odgadnąć jak ta kwestia zostanie rozstrzygnięta lub też jakiego rodzaju kompromis zostanie przyjęty w nadchodzącym dziesięcioleciu. Jest nad wyraz niewygodnym fakt, że w makroekonomii tak wiele zależy od ujęcia takiej kategorii jak oczekiwania, dla której istnieje (nieuchronnie?) tak niewielka podbudowa empiryczna, a tak wiele jest miejsca na inwencję. Hipoteza racjonalnych oczekiwań ma w tym sporze istotną zaletę w postaci jej określoności i poręczności. Jednocześnie ma także wadę – uważana jest za niewiarygodną przez zwykłych ludzi, których procesy myślowe ma opisywać. Z kolei wadą drugiego stanowiska w sporze o właściwe ujęcie oczekiwań jest jego nieokreśloność. Pozostawia ono wiele opcji, bez wskazania dobrej, opartej na faktach metody wyboru sposobu przedstawienia oczekiwań.

Jednym z elementów kompromisu jest akceptacja tezy, iż jakiegokolwiek ujęcie średniookresowej równowagi makroekonomicznej musi zasadać się na spójności oczekiwań z tym stanem równowagi w takim sensie, że równowaga, która ustala się przy początkowo istniejących oczekiwaniach, nie podważa wprost tych oczekiwań. Zatem nacisk przesuwają się nieco od formułowania oczekiwań w kierunku procesu ich modyfikowania. W moim przekonaniu – choć przyznaję, że opieram się tu na raczej skromnym zasobie informacji – literatura dotycząca procesu uczenia się nie osiągnęła jeszcze takiego punktu, aby mogła być bezpośrednio użyteczna w makroekonomii. Jest to jednak z pewnością ważny obszar badań i to zarówno tych, które są ukierunkowane na konstruowanie modeli, jak i tych, które polegają na analizie danych. Obecny stan wiedzy na ten temat zostanie opisany w przygotowywanej przez [Evansa i Honkapohja, 2001] książce. Część problemu może tkwić w tym, że właściwe w przypadku zmiennej obserwowalnej oczekiwania nigdy nie są oczekiwaniami punktowymi ani też nie przyjmują formy łatwego do sparametryzowania rozkładu prawdopodobieństwa. Jak się wydaje pożądana jest jakaś koncepcja

(rozmytego?) zbioru wyników, które są na tyle zbliżone do wyjściowych ocze-kiwań, że nie natrafia się na problem zmiany pierwotnego poglądu.

Wzrost

Druga fala wzmożonego zainteresowania teorią wzrostu – literatura poświęcona endogenicznemu wzrostowi, którą w latach osiemdziesiątych, już po przejściu neoklasycznej fali lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zapoczątkowali Romer i Lucas – zdaje się słabnąć i przybierać wymiar normalnej nauki. Nie ma w tym nic złego. Kusząca perspektywa opracowania realistycznej (mającej moc prognostyczną?) teorii wzrostu endogenicznego wcale nie wydaje się być obecnie dużo bliższa niż na początku fali. Niemniej jednak obecnie występuje większa różnorodność modeli wzrostu, które można w tym celu wykorzystywać. Ponadto nawet jeżeli niektóre zasadnicze wątpliwości natury empirycznej nie doczekały się rozstrzygnięcia, to zostały jasno określone, a być może zawężone. Wciąż trudno określić, w jakim kierunku zmierza teoria wzrostu.

Można wskazać kilka zaniedbanych obszarów badań. Na przykład, niezbyt wiele zrobiono, by rozwinąć modele wzrostu w gospodarce otwartej, mimo obiecującego początku poczynionego przez [Grossmana i Helpmana, 1991]. Nie sugeruję wcale, że ten obszar badawczy został zupełnie zaniedbany. Pośród całej masy przekrojowych w aspekcie międzynarodowym opracowań można bowiem znaleźć całkiem interesujące publikacje na temat „handlu i konwergencji”; opracowano także czysto formalne modele wzrostu w gospodarce otwartej. Jednakże, by wymienić tu tylko jedną ze słabo przebadanych kwestii, wciąż porównujemy kraje pod względem stosunku wydatków na badania i rozwój do PKB. Nigdy do końca nie zrozumiałem sensu tego podejścia. Ostatecznie to rzeczywiste, wyrażone w dolarach wydatki na badania powinny „kupować” określoną szansę odkrycia: jest mało prawdopodobne, aby kraj o małej gospodarce z ponadprzeciętnym udziałem wydatków na badania i rozwój w PKB stał się liderem w dziedzinie nauki. Bardziej istotne jest w tym względzie to, że z przyzwyczajenia ignoruje się dyfuzję technologii, a to zjawisko musi być uwzględnione przy porównywaniu poszczególnych krajów. Być może istnieje na ten temat specjalistyczna literatura. Jeżeli tak, to trzeba ją powiązać ze wzrostem endogenicznym.

Inne ważne pytanie, które nadal pozostaje otwarte, dotyczy roli kapitału ludzkiego we wzroście. Literatura na ten temat jest bardzo bogata, natomiast problem polega na tym, że wyniki są niejednoznaczne, a nawet sprzeczne. Rozsądek podpowiada, że najpierw muszą zostać rozstrzygnięte zasadnicze kwestie dotyczące pomiaru [Judson, 1996]; [Klenow i Rodriguez-Clare, 1997]. W pracach empirycznych, nie wyłączając wspomnianych i tak często stosowanych przekrojowych w aspekcie międzynarodowym analiz regresji, „kapitał ludzki” prawie zawsze oznacza zasób lub strumień „uczenia się w szkole” (*schooling*) i łatwo zrozumieć dlaczego. Jednak uczenie się w szkole jest nakładem

w procesie produkcji kapitału ludzkiego, nie zaś jego miernikiem. Ponadto wszyscy wiemy, że akumulacja kapitału ludzkiego dokonuje się także poza szkołami: w domu, w pracy, w wojsku, nawet na ulicy. Praktyczne pytanie – ile biedny kraj powinien przeznaczać na budowę kapitału ludzkiego i jak powinna wyglądać alokacja wydatków? – jest tak palące, że pytanie badawcze z nim związane powinno mieć pierwszeństwo.

Rzut oka na ostatnie numery „Journal of Economic Growth” potwierdza tezę, że od teorii wzrostu endogenicznego nie oczekuje się już, by była kluczem otwierającym tajemnicę wszechświata. W dalszym ciągu konstruuje się modele przy wykorzystaniu wyrafinowanych i złożonych technik, głównie po to, by wprowadzić drobne udoskonalenia. Chciałoby się widzieć więcej opracowań ukierunkowanych na rozwiązanie ważnych kwestii polityki gospodarczej, a także wykorzystujących nowe źródła danych. Posłużę się konkretnym przykładem: w sferze domysłów pozostaje rozstrzygnięcie, czy linia trendu produktywności w Stanach Zjednoczonych zmienia obecnie swoje nachylenie, powracając do wyższych stóp wzrostu, które cechowały kilka pierwszych powojennych dekad, czy też ma miejsce okresowe wahnięcie, zaś ostatecznie produktywność będzie na powrót wzrastała w wolnym tempie. Czy teoria wzrostu endogenicznego ma nam coś do powiedzenia na temat prawdopodobieństwa jednego lub drugiego wariantu?

Wahania gospodarcze

Większość istniejących obecnie w makroekonomii ostrych kontrowersji dotyczy krótszego horyzontu czasowego – tego, który wiąże się z cyklami koniunkturalnymi. Już na wstępie zniechęcające jest to, że w zasadzie cała sprawa dotyczy znanych od dawna kwestii – ma się wrażenie *déjà vu*. Jeszcze jedna debata między keynesistami a klasykami wywołuje u stałego czytelnika literatury ekonomicznej mdłości (tak na Kubusia Puchatka reagowała Dorothy Parker). Poniżej przedstawię w dwóch punktach swoje przemyślenia, z których wynika, że być może sprawy nie mają się aż tak źle.

Po pierwsze, ekonomiści o umiarkowanych poglądach znajdujący się po obu stronach barykady doprowadzili do pewnej zbieżności poglądów – zgrzyty pojawiają się w przypadku zestawienia skrajnych stanowisk. Dowodem, który potwierdza moje spostrzeżenie, jest sympozjum Amerykańskiego Towarzystwa Ekonomicznego, które odbyło się w 1997 roku, na temat „Czy istnieją podstawowe zasady praktycznej makroekonomii (które wszyscy powinni przyjąć)?” Referaty wygłosili wówczas Blanchard, Blinder, Eichenbaum, Solow i Taylor (opublikowane w maju 1997 roku w „American Economic Review. Papers and Proceedings”²). Jak się wydaje, z prac tych wynikało, że możliwe jest określenie wspólnych ram, w obrębie których bardzo wielu makroekonomistów, różniących się pod względem preferowanych strategii modelowania, a także ma-

² Wydanie polskie: „Gospodarka Narodowa” 1998, nr 4 i 5-6.

jących odmienne poglądy na temat pewnych kluczowych parametrów, mogłoby uprawiać normalną naukę (w sensie Kuhna – przyp. tłum.). Bez wątplenia w praktyce w dalszym ciągu nie będzie porozumienia co do kluczowych kwestii. Przyjęcie wspólnych ram ma tę zaletę, że prawdopodobnie możliwe będzie ustalenie, iż źródłem tego braku porozumienia na poziomie praktycznym są różnice zdań na temat prawdopodobnych wartości kluczowych parametrów, które z pewnością są dyskusyjne bądź różnice poglądów na temat celów, z których część może być dyskusyjna.

Po drugie, opierając się wprost na trwającym nieprzerwanie braku porozumienia co do parametrów, doszedłem do wniosku, że precyzyjne umiejscowienie prawidłowej odpowiedzi na niektóre z od dawna nurtujących, a zarazem kłopotliwych pytań może zmieniać się od czasu do czasu, tak jak zmianom w rzeczywistym świecie podlegają postawy, doświadczenia, upowszechnione wśród ludzi teorie, instytucje i polityka. Dlatego przewagę w debacie zyskuje raz jedna, raz druga strona, a to wywołuje emocje.

Muszę przyznać, że sam ulegam tym emocjom i dlatego powinienem ostrzec, iż mój osąd może trącić sekciarstwem. Wydaje mi się, że teoria realnego cyklu koniunkturalnego w swej pierwotnej wersji, wedle której obserwowalne wahania gospodarcze stanowią efektywną reakcję dobrze funkcjonującej, konkurencyjnej w wymiarze międzyokresowym gospodarki na nieprzewidywalne szoki technologiczne oraz zmiany gustów, wyczerpała się po zaledwie niewielkich dokonaniach. Głównymi przeszkodami na drodze do sukcesu są prawdopodobnie: występowanie niedoskonałości mechanizmu rynkowego w niektórych sektorach, zwłaszcza wewnętrzna niewiarygodność jakiegokolwiek próby ujmowania rezultatów funkcjonowania rynku pracy w kategoriach oczyszczającego się rynku, oraz próba znacznego wydłużenia horyzontu czasowego dla ukierunkowanych na przyszłość zachowań. Dodałbym do tego, że przywiązanie do modeli z reprezentatywnym podmiotem jest poważnym błędem. Wiele tarć na rynkach oraz dokonujących się na nich od czasu do czasu nagłych zmian sytuacji, które charakteryzują zachowanie na szczeblu makro, zdaje się wynikać ze zróżnicowania podmiotów pod względem podstawowych przekonań, oczekiwań, siły rynkowej, dostępu do kapitału itd.

Mam wrażenie, że prace Christiano, Eichenbauma i innych poszły w kierunku włączenia tarć na rynkach i niedoskonałości rynków w ramy realnego cyklu koniunkturalnego. Rezultat przypomina trochę bardziej obserwowaną gospodarkę. Jednocześnie ekonomiści, którzy w swoim podejściu opierali się na bardziej „keynesistowskich” założeniach – cudzysłów ma oznaczać, że stosują to słowo jako rodzaj pewnego skrótu myślowego i nie należy dokonywać jego nadinterpretacji – zwracali coraz większą uwagę na wymogi spójności w czasie. Wydaje się, że wyłania się coś dynamicznie bardziej wyrafinowanego niż staromodny model IS-LM, chociaż trzeba przyznać, że ten model był niezwykle użyteczny jako narzędzie wstępnej analizy zagregowanego popytu. Dystans pomiędzy dwoma szerokimi, krótkookresowymi podejściami zmniejszył się wyraźnie (aczkolwiek na pewno nie zanikł zupełnie). Stwarza to pewną przestrzeń na powstanie wspólnych ram.

Jeśli przyjrzeć się poszczególnym elementom składowym jakiegokolwiek modelu makroekonomicznego, to okazuje się, że nie brakuje problemów badawczych na następne dziesięć lat. Dla przykładu, w ostatnich latach pojawiło się wystarczająco wiele niespodzianek w zachowaniu się zarówno inwestycji w zapasy, jak i w środki trwałe, sugerujących, że standardowe modele wymagają przynajmniej rekalkulacji, a być może bardziej gruntownej przebudowy. Malejąca zmienność inwestycji w zapasy oraz wyraźnie większa łatwość utrzymania się inwestycji w środki trwałe na wysokim poziomie w latach dziewięćdziesiątych zasługują na uwagę.

W moim przekonaniu chodzi tu nie tyle o naprawianie błędów popełnionych w przeszłości, ile o nadążanie za zmieniającą się rzeczywistością. Jedną z atrakcyjnych cech pierwotnego modelu realnego cyklu koniunkturalnego jest to, że postawienie tego rodzaju pytania nie jest dopuszczalne: każda „poprawnie” sformułowana część modelu musi zawsze zasadać się na elementarnym problemie optymalizacyjnym uwzględniającym nieskończony horyzont czasowy, gdyż, jak się przypuszcza, przed tego typu problemami stają w rzeczywistości podmioty gospodarcze. To, co dla naiwnego obserwatora wygląda na nieregularną zmianę elastyczności jednej zmiennej względem drugiej, da się tak naprawdę wytłumaczyć za pomocą „głębszych” parametrów. Być może tak jest – bo i skąd można wiedzieć? – jednak poważne potraktowanie tej przestrogi nakłada na barki makroekonomisty niemożliwy do uniesienia ciężar. Wystarczająco trudne jest wyizolowanie samych postaw względem ryzyka; określenie zasad dynamiki rządzących tymi postawami jest jeszcze trudniejsze. Jeżeli ten rodzaj niestabilności parametrów występuje często, to fakt ten niesie ze sobą pewne konsekwencje dla teorii, jak również dla określenia najlepszej strategii wykorzystywania informacji o przeszłości do formułowania wniosków dotyczących teraźniejszości.

Posłużę się jednym tylko przykładem, który pokazuje, że zmiany zachodzące w samej gospodarce mogą skłaniać do przemyślenia standardowej analizy. Jako (emerytowany) nauczyciel makroekonomii na poziomie średnio zaawansowanym, chciałbym zasugerować, że dobry, stary model Mundella-Fleminga wymaga zaktualizowania tak, aby odzwierciedlał zmiany mobilności kapitału portfelowego, swobodę dokonywania zagranicznych inwestycji bezpośrednich, zdolność firm do pozyskiwania z zewnątrz dóbr pośrednich, (czasami strategiczną) reakcję cen dóbr na wahania kursu walutowego oraz inne instytucjonalne i technologiczne postępy tego rodzaju. Makroekonomia gospodarki otwartej może jedynie zyskiwać na znaczeniu w przyszłości.

Plące i ceny

Nic w makroekonomii nie ilustruje lepiej bliskiego związku pomiędzy teorią a faktami niż kwestia zachowania się płac i cen w krótkim i średnim okresie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych standardowym modelem o ugruntowanej pozycji była rozszerzona o oczekiwania krzywa Phillipsa w wersji, która uwzględniała naturalną stopę bezrobocia lub NAIRU. Ponieważ do-

pasowanie tej krzywej do danych empirycznych było dobre, więc nie zadawano zbyt wielu pytań. (Zawsze miałem wątpliwości co do solidności tej teorii oraz analiz empirycznych, które miały wspierać standardowy model NAIRU. Jednak dopóki teoria bardzo dobrze pasowała do rzeczywistości, dopóty nikt nie wykazywał skłonności do rozrabiania. Nawiasem mówiąc, ta teoria nigdy nie sprawdziła się w Europie i wciąż się nie sprawdza).

Na drugim planie pozostawał model określenia samej NAIRU, która zwykle odpowiadała punktowi przecięcia konwencjonalnej, ujemnie nachylonej krzywej zagregowanego popytu na pracę z jakąś dodatnio nachyloną krzywą „ustalania płac”, zgodnie z którą wyższa płaca realna odpowiadała wyższemu zatrudnieniu. Istniały różne wytłumaczenia występowania krzywej „ustalania płac”. Pośród nich szczególne miejsce zajmowały: model płacy proefektywnościowej, model „swoi-obcy” oraz model godzenia aspiracji obu stron rynku pracy. Wszystkie te modele prowadziły z grubsza rzecz ujmując do tego samego rodzaju krzywej „ustalania płac” i dlatego ich rozróżnienie na gruncie empirycznym nie było ani łatwe, ani pilne.

Istnieją również problemy pojęciowe dotyczące krzywej popytu na pracę. Ma ona być funkcją płacy realnej (płaca nominalna skorygowana o indeks cen producenta), lecz jedynie płaca nominalna może być uważana jako dana dla reprezentatywnego przedsiębiorstwa, które w warunkach niedoskonałej konkurencji samo ustala cenę. Ten problem można ominąć w szczególnych przypadkach – kiedy elastyczność popytu na pracę względem płacy realnej jest stała – i dlatego nie warto o nim teraz mówić. W starszym podejściu podkreślano znaczenie negocjacji dotyczących płac nominalnych: uzależniano ceny od płac, a płace od cen i w ten sposób pojawiała się płaca realna. Podejście to miało coś takiego, co sprawiało, iż warto było je polecać, mimo że w prostych formułach narzutu na koszty można było wykorzystać odrobinę nowoczesnego rozumowania, które uwzględnia ukierunkowanie na przyszłość.

Tak było wtedy. Wydaje się, że w latach dziewięćdziesiątych standardowy model zaczął się, przynajmniej powierzchownie, psuć. W chwili obecnej, kiedy piszę ten artykuł, stopa bezrobocia znajduje się poniżej kanonicznego kiedyś poziomu 6%, a stan ten utrzymuje się od pięciu lat, zaś wzrost deflatora PKB w tym samym okresie uległ zwolnieniu, przy nieznacznym przyspieszeniu wzrostu stawki godzinowej, która jest i tak dużo bardziej lepka niż można by przypuszczać opierając się na 6-procentowej NAIRU. (Pogodzenie ścieżki europejskiego bezrobocia ze standardowym modelem wymaga nawet więcej, czegoś na podobieństwo późno-Ptolemeuszowskich epicykli). Oczywiście zawsze można obronić wytłumaczenie oparte na odwołaniu się do koncepcji NAIRU, jeżeli tylko przyjmie się, że ilekroć spada stopa inflacji, bieżąca stopa bezrobocia musi się kształtować powyżej NAIRU. Jeśli jednak cechą NAIRU są bardzo powolne lub bardzo rzadkie zmiany albo jej wysoka przewidywalność na gruncie podstawowego modelu, to obrona wspomnianego wytłumaczenia polega na pozbawieniu go treści.

Niemniej jednak powierzchowne obserwacje, jak ta opisana wcześniej, nigdy nie są rozstrzygające. Ostateczny werdykt może brzmieć następująco: aby

wyjaśnić zaburzenia, które miały miejsce w latach dziewięćdziesiątych, wystarczy uwzględnić szczególne czynniki. Lista możliwych szczególnych czynników jest długa: zmieniający się rozkład wieku siły roboczej, szczególna rola deflacyjna cen komputerów, odejście od szybko rosnących kosztów opieki medycznej, aprecjacja dolara w stosunku do jena i inne. Po przeprowadzeniu badań może się okazać, że ta lista stanowi najlepszą odpowiedź. Trzeba mieć nadzieję, że badania te będą prowadzone z krytycznym nastawieniem. Kłopot w tym, że szczególne czynniki istnieją zawsze, ale zauważa się je tylko wtedy, gdy są potrzebne. Szkoda byłoby przegapić okazję do przemyślenia makroekonomii płac i cen.

Średni okres

Przypuśćmy, że prowadząc krótkookresową (opartą na kwartalnych zmianach) analizę makroekonomiczną najlepiej jest przyjąć z góry określone (choć niekoniecznie stałe) ceny i płace oraz wprowadzić nieco dynamiki *ad hoc*. Przypuśćmy też, że przystępując do długookresowej analizy makroekonomicznej (skupiającej się na zmianach zachodzących między dekadami) najlepiej jest zastosować podejście wypracowane w teorii wzrostu, tzn. przyjąć, iż ceny i ilości wzajemnie się dostosowują. Wówczas musi jeszcze istnieć średni okres obejmujący czas upływający między piątym a dziesiątym rokiem, do analizy którego odpowiedni jest jakiś rodzaj hybrydowego modelu przejściowego. Ceny odgrywają w nim pewną rolę, jednak nie prowadzą po prostu do oczyszczenia rynków, przez co procesy stymulowane zmianami dochodu mogą stać się dominujące.

Czy podejście tego typu jest godne uwagi i czy w ogóle jest możliwe? Robert Lucas uważa, że nie. W krytycznej recenzji pracy [Jamesa Tobina, 1980] pt. „Asset Accumulation and Economic Activity” Lucas upierał się, jak pamiętam, przy tym, że jakakolwiek próba bycia „keynesistą” w krótkim okresie oraz „neoklasykiem” w długim okresie jest po prostu nielogiczna. Rozumiem, co miał na myśli. W jaki sposób ktoś, kto jest keynesistą, zatrzymuje się nagle w swojej kwartalnej analizie i przechodzi do założeń długookresowych? Jak ktoś będący neoklasykiem znajduje kiedykolwiek odpowiedni moment na wprowadzenie stałych cen, przy których rynki się nie oczyszczają?

Jednak ten sam rodzaj nielogiczności dość często pojawia się w innych sytuacjach. Kiedy spaceruję po Bostonie albo żegluję w cieśninie Vineyard, steruję bez wahania tak, jak gdyby ziemia była płaska i docieram na miejsce bez problemu. Gdybym leciał do Timbaktu albo płynął do Sydney, na pewno sterowałbym tak, jak gdyby ziemia była kulista. Analogia nie jest idealna. Oto inna, lepsza, którą jednak słabiej rozumiem: jestem przekonany, że w codziennym życiu wystarcza znajomość fizyki Newtonowskiej; jednak przy znacznie większych odległościach i przy wyższych prędkościach pominięcie efektów wynikających z teorii względności byłoby fatalnym błędem. Przypuszczalnie istnieją pośrednie prędkości, w odniesieniu do których wybór mógłby być wart zastanowienia.

Wracając do teorii makroekonomii mogę sobie łatwo wyobrazić, że istnieje „prawdziwa” makrodynamika, obowiązująca w każdym przedziale czasowym. Jednakże jest ona straszliwie skomplikowana i nikt nie potrafi jej dobrze uchwycić. Myślę, że jakiś rodzaj „keynesizmu” stanowi dobre przybliżenie dla krótkiego okresu, a z pewnością lepsze niż cokolwiek, co jest czysto „neoklasyczne”. Poszukując odpowiedzi na interesujące pytania, które dotyczą bardzo długiego okresu, najlepiej jest przyjąć ramy „neoklasyczne”, natomiast zwracanie uwagi na keynesistowską stronę zagadnień byłoby drobnym kaprysem. Żeby poprawnie analizować zjawiska zachodzące w okresie obejmującym przedział czasu między piątym a dziesiątym rokiem, musimy połączyć wszystko razem najlepiej jak tylko potrafimy i poszukać hybrydowego modelu, który będzie dobrze działał.

Pośród korzyści, jakie miałyby płynąć ze stosowania takiego hybrydowego modelu, powinna mieścić się możliwość dokonania interpretacji takich zjawisk, jak: rozbieżność trendów bezrobocia w Europie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, japońska stagnacja na niskim poziomie w latach dziewięćdziesiątych oraz kształtowanie się zatrudnienia, produktywności i niskiej inflacji w Stanach Zjednoczonych od 1992 roku. Dobrymi przykładami makroekonomii średniego okresu są prace [Oliviera Blancharda, 1997, s. 89-141], [Paula Krugmana, 1998, s. 137-187] i [Thomasa J. Sargenta, 1999]. Lata podzielne przez 103 nie są szczególnie dobre dla większości tego rodzaju zagadnień, ale nie są też szczególnie złe.

Tłumaczenie: Krzysztof Legutko
Marek Andrzej Dąbrowski

Bibliografia

- Bénassy J.P., [1986], *Macroeconomics: An Introduction to the Non-Walrasian Approach*, Academic Press, Orlando.
- Blanchard O.J., [1997], *The Medium Run*, „Brookings Papers on Economic Activity”, nr 1.
- Christiano L., Eichenbaum M. i Evans C., [1997], *Sticky Price and Limited Participation Models: A Comparison*, „European Economic Review”, t. 41, nr 6.
- Evans G. i Honkapohja S., [2001], *Learning and Expectations in Macroeconomics*, Princeton University Press, Princeton.
- Grossman G. i Helpman E., [1991], *Innovation and Growth in the Global Economy*, MIT Press, Cambridge.
- Judson R., [1996], *The Low Human Capital Coefficient: A Puzzle and Some Answers*, „FEDS Working Paper”, t. 96, nr 13, Board of Governors of the Federal Reserve System.
- Klenow P. i Rodriguez-Clare A., [1997], *The Neoclassical Revival in Growth Economics: Has it Gone Too Far?*, „1997 Macroeconomics Annual”, MIT Press, Cambridge.
- Krugman P., [1998], *It's Baaack: Japan's Slump and the Return of the Liquidity Trap*, „Brookings Papers on Economic Activity”, nr 2.
- Malinvaud E., [1977], *The Theory of Unemployment Reconsidered*, Basil Blackwell, Oxford.
- Sargent T., [1999], *Conquest of American Inflation*, Princeton University Press, Princeton.
- Tobin J., [1980], *Asset Accumulation and Economic Activity*, University of Chicago Press, Chicago.